

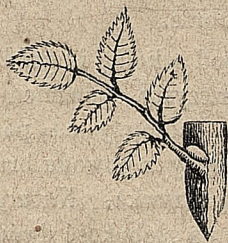


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Oczkowanie.

### Co wietrzyk opowiadał gruszy w noc majową.

POGADANKA OGRODNICZA.

PRZEZ **Zofię Grabkowską.**

(Dalszy ciąg).

A widzisz, że cię zabawiłem, zająłem i sen jakoś odbiegł daleko! zawołał tryumfująco wietrzyk. Ho, kiedyś taka uważna, spełnię twoje życzenie, mam jeszcze dość czasu do rana i myślę, że p. Jankowski nie będzie się gniewał, jeżeli skorzystam z jego wiedzy w „Sadzie i ogrodzie owocowym” i nieumiejętnych nauczę. Może ty znów opowiesz to dzieciom ludzkim, co nieraz szukają chłodu w cieniu twych gałęzi. Przy moich wskazówkach będą mogły założyć szkółkę

i wyhodować w niej drzewka owocowe, później niech dziewczynki odmówią sobie trochę wstążek i błyskotek, chłopcy... papierosów, i kupią wyżej wspomniane dzieła, aby ich już dalej umiejętniejsza od mojej rada prowadziła. Z przykrością jednak muszę ci powiedzieć, że z ziarn twoich owoców mogą być doskonałe podkładki do szczepienia szlachetnych grusz, ale ty sama, biedaczko... uschniesz, nie zdatna na nic, chyba na opał albo wyroby stolarskie. Na reformy już zapóźno. Ale nie martw się, wszak odżyjesz w swych dzieciach, które mogą przynieść światu wielki pożytek, jeżeli tylko ludzie się nimi zaopiekują starannie.

Zapewne wiesz, że drzewa owocowe rozmnażają się dwójakim sposobem, naturalnym czyli z nasion i sztucznym t. j. przez uszlachetnianie: Rozmnażając z nasienia, otrzymujemy drzewka zwane ziarnówkami, z nich zdarzyć się mogą dobre owoce, ale ten wypadek należy do wyjątków i zwykle drzewa te muszą być uszlachetniane. Przyczyna leży w tém, że rośliny, otrzymane z nasion, nie są podobne do matek, tylko mniej więcej do pierwowzoru, z którego powstały. Często znów bywa to winą wiatru lub owadów, które przenoszą pyłki z jednego drzewa na drugie, w skutek tego powstają nowe odmiany, czasem dobre, lecz najczęściej złe, w każdym razie inne. Amatorzy, idąc za tym przykładem, mogą otrzymać także nowe odmiany, upatrzawszy sobie dwa drzewa i przenosząc pyłki z jednych kwiatów na słupki kwiatów drugiego drzewa, z którego już poprzednio, z jednego lub kilku bukietów, usunięte zostały pręciki. Trzeba to robić niezmiernie



ostrożnie i starać się, żeby już obcy żywioł do tego się nie wmięszal, a później cały bukiet obwiązać muslinem i przyczepić etykietę z nazwą drzew i datę. Jeżeli płatki bukietu pod muslinem opadną równocześnie z płatkami całego drzewa, to znaczy, że próba się udała i można na nim tę osłonę zostawić, póki owoc nie dojdzie wielkości orzecha lub nawet przez całe lato; tak go wiatr nie otrząsie a owady nie naruszą. Gdy owoc dojrzeje, wybiera się starannie z niego ziarnka i zasiawszy je w doniczki, można przy starannem pielęgnowaniu w lat kilka otrzymać drzewka; ściągwszy z nich gałązki, najobficiej w strzałki (pączki na liście) opatrzone zaszczerpić je należy na starych, już dawno rodzących drzewach \*) a tym sposobem nową otrzymać można odmianę. Niektóre owoce, jakoto: brzoskwinie, morele, wiśnie, czasami śliwki, powtarzają się stale z nasienia; lecz najpewniejszy i najbezpieczniejszy sposób jest hodowanie drzew przez uszlachetnianie dziczek. Diczki wykopane w lesie, jakkolwiek upraszczają i przyspieszają robotę, nie na wiele się przydadzą, posiadają one bowiem zwykle jeden tylko korzeń gruby, zamiast korzeni pierzastych, długo też nie trwają i słabo rosną. Najlepsze podkładki do uszlachetnienia otrzymuje się z ziarn dzikich owoców; są to tak zwane siewki, silne, zdrowe, wytrwałe na klimat i opatrzone w dostateczną ilość korzeni; roślina więc nie z jednego, lecz z wielu miejsc czerpie pożywienie. Owoce na ten cel najlepiej zbierać w stanie zupełnie dojrzałym, jabłka i gruszki (dzikie) w Październiku, po pierwszych przymrozkach, i poddawszy je gniciu, zmiażdżyć następnie i przez wymywanie na sitach zupełnie oczyścić. Chcąc się przekonać o wartości ziarn, trzeba je splawić, wtedy puste wypłyną na powierzchnię, dobre zanurzą się \*\*) Jabłka dzikie trudno nlegają gniciu, trzeba je więc zmiażdżyć, a później splawić.

Otrzymane w ten sposób nasiona poddają ogrodnicy stratyfikacyi, czyli zasypaniu, co robi się w ten sposób, że do pudełka lub innego naczynia sypią na dno warstwę tłuczonego węgla drzewnego, później przysypują to piaskiem grubym, rzecznym, zwilżonym, ale nie mokrym; następnie już warstwami układa się ziarna i piasek a przykrywa w końcu wszystko podziurawionem denkiem, umożliwiając w ten sposób przystęp powietrza. Naturalnie warstwa piasku musi być ostatnią. Tę skrzynię początkowo umieścić można pod drzewem, ale na zimę wykopać trzeba dół na jakie dwa łokcie głęboki i zabezpieczywszy od myszy gałęziami jałowcu, spuszcza się skrzynię do dołu. Ten sposób ma tę korzyść, że oszczędza miejsca, czasu, przytem nasionka, nie próżnują przez zimę, sadi się więc te, które pokiłkowały do wiosny. Nim jednak to nastąpi, trzeba przygotować grunt pod nie; w braku dobrego kawałka gruntu, doprawić ziemię, jaką się ma pod ręką, kompostem lub próchnicą i podzieliwszy na zagony dwułokciowe, o brzdach na stopy szerokich, a później na linii sadzić kielki w odstępach sześciocalowych (czereśnie ośmio calowych), przyłamawszy im naprzód koniuszek. W skutek przyłamania, korzeń się rozgałęzi lepiej i roślina będzie silniejsza. Posiane kielki należy podlewać obficie przez sitko i przykryć zagony mierzwą, łęcinami szparagów lub gałęziami drzew iglastych; a to dla zabezpieczenia ich

od mrozów, wilgoci i t. p. W Maju jednak w dzień pochmurny lub w nocy powinny być zdjęte.

Przez lato młode siewki wymagają podlewania i to regularnego i częstego (parę razy na tydzień) aż do końca Sierpnia wodą miękką, do której od czasu do czasu można dodać gnojówki, wrywania chwastów i zruszania ziemi małą dwuzębną motyczką. Pozbawione wilgoci, przestają rosnąć i stają się łupem mszyc. Jeżeli dziczki dojdą grubości palca, lub przynajmniej gęsiego pióra, przenoszą się już na jesieni do szkółki, gdzie są uszlachetnione.

Szkółką owocową nazywają miejsce, gdzie drzewka, w rozmaity sposób uszlachetnione i rozmnażane, pozostają tak długo, aż są zdadne do przeniesienia na miejsce, gdzie mogą ostatecznie rosnąć i rodzić. Taka szkółka jest koniecznie potrzebna, choćby przy najmniejszym ogrodzie, a to dla tego, aby zastąpić małym kosztem stare drzewa nowymi i pewnymi drzewkami; na większą skalę zaś prowadzona, może dać nawet dobry dochód. W kotlinach górskich szkółki nie udają się nigdy, kwiat sam gnije jeszcze na drzewie. Lecz na płaszczyznach to zgromadzenie drzew w jednym miejscu jest bardzo wygodne, ułatwia nadzór i robotę; przytém stojąc blisko siebie, drzewka wzajemnie osłaniają się od wiatru, mrozu i gorąca. Grunt pod szkółkę trzeba wybrać zdrowy i urodzajny, uprawiany już przez czas dłuższy pod zboże lub warzywo. Nie trzeba go mierzwić nawozami gryzaczami bezpośrednio przed użyciem na szkółkę, w potrzebie użyć kompostu; choć znów nawozy nawet silne wkopane nasam spód regulówki wybornie wpływają na wzrost drzewek, bo gdy inne korzenie młodych drzew dojdą do spodu, nawóz przestanie być gryzącym. Mylnie niektórzy sądzą, że tém lepsze jest drzewo, im na gorszym gruncie wychowane i że takie, przeniesione w grunt dobry, rośnie potem doskonale. Ziemia koniecznie powinna być zdrowa, a drzewko byle było zaopatrzone w obfite korzenie, to i na lichym gruncie później rosnąć będzie dobrze.

Najlepszy grunt pod szkółkę i ogród owocowy jest pszenny lub gliniasto piaszczysty, powinien być podzielony na kwatery i koniecznie osłonięty od północy i zachodu, od południa nigdy, bo wtedy z powodu braku przewiewu napadają mszyce i niszczą drzewka. Naturalnie przedtém powinien być zregulowany na głębokość dwóch stóp przynajmniej, nie głębiej, bo byłby później kłopot z wydobywaniem korzeni drzewa. Mierzwę należy umieścić na sam spód, jeżeli zaś dodaje się kompost, to ten powinien być pomieszany ze wszystkimi warstwami. Jeżeli na spodzie znajdzie się warstwa kamieni, gałęzi, to drzewa obfitują w korzenie włókniste i łatwo się potem przyjmują. Nim jednak zacząć się ze szkółki drzewa przenosić na inne miejsca, trzeba je naprzód uszlachetnić, wypielęgnować i w ten sposób dużo jeszcze czasu upłynie. Uszlachetniają się dziczki dwoma sposobami: za pomocą oczkowania i szczepienia.

Oczkują się, biorąc z drzewa szlachetnego małą gałązkę z jednym pączkiem czyli oczkiem, która się odcina z kawałkiem kory, w kształcie tarczki; na dzicze robi się nacięcie w kształcie litery T. podnisi się nożem korę i wsuwa odciętą gałązkę. Potém to wszystko obcisnąwszy, obwiązuje się lyczkiem w koło (ponad i pod oczkiem) i młoda gałązka, gdy podrośnie, i utworzy w końcu korę, będzie czerpać pożywienie nie zawsze z podkładki, zatrzymując wszystkie swoje własności, bo wyda owoce i liście takie, jak drzewo, z którego po-

\*) Szczegółowy opis. Jankowski „Sad i ogród owocowy”.

\*\*) Ziarna owoców gotowanych lub moczonych w spirytusie nie są wcale przydatne.



## DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

chodziła. Oczkujemy zwykle w Lipcu lub w Sierpniu, w oczka tak zwane martwe, to jest takie, które nie wybijają tego samego roku. Żywemi oczkami nazywają te, które wybijają tego samego roku, bo są oczkowane na wiosnę; ponieważ jednak pęd pokazuje się dopiero w Lipcu, nie mają czasu dostatecznie zdrzewnieć przed zimą i najczęściej giną \*). Jeżeli oczko zczernieje lub zbutwieje, staje się niezdatnym do oczkowania. Morele i brzoskwinie, których pędy szybko rosną, oczkują się na wiosnę w oczko żywe. Do tej czynności jest osobny nożyk. W upał ani w deszcz oczkować nie można; najlepiej w dni pochmurne lub godziny ranne, oczko ze środkowej części pędu, jako najwięcej wykształcone, jest jedynie zdadne do użycia.

W dziesięć dni, czasami już wcześniej, można przekonać się, czy czynność ta się udała, nastąpiło to wtedy, jeżeli ogonek nie uschnięty za dotknięciem opadnie, oczko samo jest świeże, nie zmarszczone, a kora zielona. Inaczej trzeba czynność powtórzyć. W parę tygodni należy lyczko zluźować, bo ono wzrost pędu hamuje; nad oczkami żywymi zrywa się dziczek na cal lub dwa, żeby przez to skupić soki na szlachetnym oczku i zmusić je do wyrośnięcia w pęd; tym sposobem przed zimą może zdrzewnieć. Z martwymi czynimy to samo na następną wiosnę. Wiśnie i czereśnie nie dają się uszlachetniać w ten sposób.

(d. c. n).

## DO KONIKA POLNEGO,

PRZEZ KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

Zkądże to, wiejski śpiewaku,  
Pod mém oknem twoje głosy?  
Jakież cię, miły żebraku,  
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łąny,  
Gdzieś swobodnie pieśni nucił,  
Aż do miasta zabłąkany,  
Jakżeś mię bardzo zasmucił!

Nie tobie, śpiewaku polny,  
Miejskie przysłało schronienie;  
Ciche gaje, umysł wolny,  
Natchnie tylko łube pienie.

I mnie dzisiaj miasto więzi,  
Com lubił wiejskie zacisze;  
Zawieszoną na gałęzi,  
Wiatr moję fletnię kołysze.

Więc gościnę w równym stanie  
Przyjm, żebraku, w oknie mojem,  
Z kwiatów ci zrobię posłanie,  
Czystym uroszę je zdrojem.

Siądziesz czasem na mój lutni,  
Tu samotni w wolnej chwili,  
Oba tęskni, oba smutni,  
Po wiejsku będziemy nucili.

Opisując proste doświadczenie z ową monetą, wydobytą z pod szklanki, wyjaśniliśmy czytelnikom, jakim sposobem ruch udziela się ciałom. Teraz zaznaczymy jeszcze, że ruch taki nie odrazu całym przedmiotem wstrząsa, lecz przechodzi od jednych cząsteczek do drugih. Wyobraźcie sobie na przykład, że można wystrzelać z pistoletu wybić w szybie szklanej okrągłą dziurkę, podczas gdy uderzenie kijem zgruchoce ją w drobne kawałki. Kula uderza z nadzwyczajną gwałtownością, odrywa kawałek szkła w mgnieniu oka, a ruch, który mu tym sposobem nadaje, nie ma czasu udzielić się dalszym cząstkom szyby i te pozostają w spokoju.

Kuglarze pokazują często taką sztukę: po obu końcach kija drewnianego zatykają dwa druciki i opierają kij temi drucikami na dwóch szklankach. Potem innym mocnym kijem nadzwyczaj szybko i silnie uderzają go po samym środku. Kij się przełamuje, szklanki pozostają nietknięte. Czasem kij zawieszają na papierowych paskach, a i te się nie rozrywają, chociaż kij na dwoje się rozpada. Ruch i tu nie miał czasu dojść do końców.

Rysunek przedstawia małą kulkę drewnianą, uczepioną na nitce niezbyt mocnej do sufitu, takąż sama nitka zwiesza się z niższej części kulki na dół. Jeśli tę nitkę pociągniemy gwałtownie, urwie się poniżej kulki, jak wskazuje rycina, lecz jeżeli ciągnąć będziemy wolno, wstrząsając nią, urwie się ponad kulką. Zależy to od tego, czy ruch dojdzie do kulki, czy też nitka oderwie się tak szybko, że nie będzie na to czasu.

## HURAGAN ZWROTNIKOWY.

My w umiarkowanym naszym klimacie wyobrażenia nawet nie mamy, czém są burze i nawałnice w strefach cieplejszych. U nas wprowadzie słyhać kiedyniekiedy, że wichur połamał drzewa w ogrodzie, dachówki pozrywał z dachu, lub szylidy z nad drzwi sklepowych, czasem, bardzo rzadko, dochodzi wiadomość o trąbie powietrznej i szkodach przez nią wyrządzonych. Lecz wszystko to jest niczem w porównaniu do tych strasznych huraganów, które w krainach zwrotnikowych szaleją, i po morzu, i po lądzie. O burzach na morzu czyta się często w opisach podróży, ale i na lądzie takie nawałnice wyrządzają szkody okropne, obalają mieszkania, najmocniej zbudowane, sieją śmierć i zniszczenie wśród ludzi i bydła domowych. W miejscowościach, często nawiedzanych przez burze, ludzie muszą się chronić w podziemnych piwnicach, umyślnie w tym celu urządzonych, wykopują też doły głębokie, w które zapędzają trzody, gdy zbliża się straszny huragan. Rysunek nasz przedstawia rzekę w Ameryce zwrotnikowej podczas burzy. Fale rozkołysane gwałtownym wichrem często statki wyrzucają na ląd, zalewają wybrzeże na znacznej przestrzeni, a powracając do swego łóżyska, zabierają i unoszą obalone drzewa i wszystko, co napotkają po drodze.

## Sprawozdanie Kazia z zadania konkursowego.

Przedewszystkiém muszę się pochwalić, że tym razem pracowań nie zgubiłem, są wszystkie w całości, leżą tu przedemną na stoliku. Odczytałem je od deski do deski, uważnie, sumiennie, choć to teraz czas strasznie gorący, ucząca się młodzież wie o tém dobrze, musimy na wakacje zarobić, ale za to gdy nadejdą!... Otóż to dopiero przytomny człowiek ze mnie, już chciałem o wakacyach się rozpisywać, a tu trze-

\*) Pędem nazywamy część rośliny, wychodzącą z pączka, która znów po opadnięciu liści dostanie nazwę gałązki i zatrzyma ją aż do opadnięcia następnego liści. Odtąd przez cały czas istnienia zwać się będzie gałęzią.



ba jaknajpieszniej brać się do rzeczy, bo i czasu brak na próżne gawędy, i miejsca dla mnie, jak zwykle, żalują niemiłosiernie w Piśmie.

Wybrałem za przedmiot zadania opis najszcześniejszego dnia w życiu, a muszę sobie oddać sprawiedliwość, że pomyśl mi się udał, bo nadeszło mnóstwo odpowiedzi, i prawie wszystkie śliczne. To też jakkolwiek nie zgubiłem szacownej tej paczki, postanowiłem za zgodą redakcyi i teraz, jak w sprawozdaniu poprzedniem, podać treść wszystkich lepszych odpowiedzi, przytaczając z niektórych wyjątki, gdyż jestem pewny, że to każdego zajmie tak samo, jak mnie zajęło, gdy wspomnienia i wrażenia tylu korespondentek i korespondentów odczytywałem z kolei i porównywałem pomiędzy sobą. Panienki, jak zwykle, wystąpiły daleko liczniej, przysłały już do tego, nie dziwię się też wcale, bo wiem, że panienki, jakkolwiek zajęte naukami, zawsze jednak łatwiej znaleźć mogą wolną chwilę od chłopców.

Z 32 korespondentek 10 za najszcześniejszy dzień życia uważa dzień przyjęcia pierwszej Komunii: 11 letnia Dziunia — 14 letnia Gwiazdka z Czerwonéj Rusi — 14 letnia Iskierka — 14 letnia Kalina — 12 letnia Konwalia leśna — 12 letnia Krasnolica — 11 letnia Kuropatwa z nad Narwi — 13 letnia Niezapominajka z nad Narwi — 11 letnia Trawka — 13 letnia Truskawka — Chciałbym tu powtórzyć wszystko, co piszą te panienki, muszę jednak poprzestać na kilku ustępach. Gwiazdka z Czerwonéj Rusi tak opis swój zaczyna: „Wiele miałam dni w życiu wesoło i przyjemnie spędzonych, których wspomnienie zawsze mi jest mile, lecz najpiękniejszym był dzień pierwszej Komunii”. Iskierka swój znów zakończy podobnie: „Wróciłam do domu tak przejęta całą tą uroczystością, i z takim błogiem uczuciem w sercu, iż do dziś zaliczam ten dzień do najszcześniejszych w mém życiu”. Kalina pisze: „Miałam lat 12, gdy w gronie dziewcząt wiejskich w naszym parafialnym kościółku, nieśmiała i strwożona przystąpiłam do stołu Pańskiego. A po spożyciu tego chleba anielskiego, czułam się odrodzoną, lekką, szczęśliwą, zdawało mi się, że niema szczęśliwszej istoty nademnie”. A Konwalia leśna, po opisanu takich samych wrażeń, dodaje za zakończenie: „Tego dnia poznałam prawdę słów, które często słyszałam powtarzane przez starszych, że czyste sumienie, to najwyższe dobro człowieka na ziemi”. Truskawka, pragnęła dzień pierwszej Komunii upamiętnić dobrym uczynkiem, a napotkawszy ubogie dziecko, oddała mu wszystkie pieniądze, jakie posiadała. „Gdy powróciłam do domu, powiada, doznałam tak błędnego uczucia, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczałam”. Mogę tylko życzyć tym wszystkim paniom, aby wspomnienie tego pięknego dnia nigdy się nie zatębiało w ich pamięci; muszę też tu zaznaczyć, że znam osobę sędziwą, nad grobem już stojącą, która mi powiedziała prawie słowo w słowo toż samo, co te panienki, z których żadna jeszcze piętnastu lat nie skończyła: „W całym długim życiu mojem nie miałam szczęśliwszego, piękniejszego dnia, jak dzień pierwszej Komunii”.

11 letnia Fajka najszcześniejsza była tego dnia, gdy pojechała do Częstochowy, pierwszy raz zobaczyła cudowny obraz Bogarodzicy, a pomodliwszy się gorąco, oglądała potem starożytne historyczne pamiątki, a na zakończenie powiada: „Dzień ten, w którym tyle dawnych pamiątek i tyle pięknych rzeczy widziałam, będzie zawsze w mojej pamięci wyryty, jak

się wyrył w mém sercu obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej”.

11 letnia Muszelka z nad Bohu opowiada, jak na Boże Narodzenie dobra jej mama i babcia urządziły choinkę dla dzieci ubogich robotników, mieszkających w pobliżu, a Muszelka częstowała małych gości, rozdawała im przysmaki i różne podarunki. „Po ich wyjściu, pisze, czułam się bardzo uradowana, a dzień ten nazwałam najszcześniejszym w życiu, bo pierwszy to raz zdarzyło mi się sprawić uciechę innym”. Musi to być w rzeczy samej przyjemne i błogie uczucie, bo i dwie inne panienki zaznaczyły najmielsze dni w swoim życiu dobrymi uczynkami. 10 letnia Konwalia leśna z nad Wisły obaczyła raz w zimie biedną sierotkę zziębniętą, bo nie miała ciepłego ubrania. Konwalijka wyprosiła u mamy potrzebne do tego materyały i w chwilach wolnych od nauk uszyła ciepły kaftanik, w który biedną sierotkę ubrała i temi słowami opowiadanie swoje kończy: „Taką sprawiłam radość tej małej, że nie wiem, czy kiedy zapomnę tę chwilę, tak mi było wesoło, jakgdybym dawała miliony, ale jej szczęścia nie potrafię tak dobrze opisać”. I 9 letnia Stokrotka różowa

niemniej była szczęśliwa, gdy ubogie dziecko, skostniałe od zimna, ubrała w własne ciepłe sukienki, i ciepłym mlekiem napoiła, otrzymawszy na to pozwolenie od mamy.

Gdyby ludzie nie znali cierpień, nie doznawaliby także i radości, chociaż trudno nam czasem to zrozumieć. Na dowód tego twierdzenia mnóstwo korespondentek i korespondentów donosi, że najszcześniejszy dzień życia dla nich nastąpił po jakiejś niezwykłej przykrości, czasem po długich chwilach smutku. Oto naprzykład co pisze 11 letnia Gwiazdka z Małej Rusi która jest jedynaczką, ukochaną i pieśzoną: „Całe życie moje składało się prawie z samych chwil wesołych, ale przyszła i na mnie kolej smutku, po którym nastąpił dzień bardzo radośny”. Ojciec Gwiazdki zmuszony był wyjechać daleko i przez rok przeszło nie powracał, aż wreszcie niespodzianie nadszedł telegram z wiadomością, że już jest w drodze, że za kilka godzin przybędzie. Cóż to było za szczęście, gdy Gwiazdka wraz z mamą udała się na dworzec kolei i usłyszała gwizd lokomotywy, gdy spostrzegła w oknie wagonu ukochanego swego ojczulka i uściskała go po długim niewidzeniu.

I dla 10 letniej Słomki najszcześniejszym w życiu był dzień, w którym powitała obojga rodziców po długiej nieobecności. Dobrze jej było wprawdzie u cioci, gdzie przez ten czas mieszkała, a jednak z jakąż niecierpliwością wyglądała powrotu rodziców! „Nadszedł wreszcie ten dzień upragniony, powiada Słomka na zakończenie, po kilkogodzinnem oczekiwaniu ujrzałam wracających ukochanych rodziców. Nie potrafię wypowiedzieć, jak się ucieszyłam, a dzień ten mogę istotnie nazwać najszcześniejszym”.

Tegoż samego uczucia doznała 12 letnia Chmurka, której mama wyjechała na kuracyę do Krynicy wraz z ojcem. Młodsze rodzeństwo nie odczuwało tak tej próżni w domu, lecz Chmurka tęskniła bardzo i za najszcześniejszą w życiu uważa tę chwilę „gdy słyszając wbiegła wołając, że państwo jadą, gdy pocztarek wyjeżdżał z lasu, trąbiąc i trzaskając z bicza. Po chwili, kończąc Chmurka, byliśmy w objęciach rodziców, tonąc we łzach radości”.

12 letnia Prymulka biała wyjechała z matką do Szawary, do miejsca leczniczego, gdzie od roku przebywał chory



Doświadczenie fizyczne (str. 179).



jój brat starszy. Jechano z niepewnością i smutkiem, lecz po tym smutku miała nastąpić radość. „O, jakże byłam zdziwiona, szczęśliwa, pisze Prymulka biała, gdy zobaczyłam brata zdrowego już prawie, wesołego. Bóg Wszechmocny dozwolił mu tak prędko przyjść do zdrowia! Ten dzień pozostawił mi wspomnienie nieopisanéj radości”. Niemniej szczęśliwą była 13 letnia Topola, gdy matka jój po niebezpiecznej chorobie za łaską Bożą powróciła do zdrowia. 11 letni Dziecioł doznał téj saméj radości, gdy pozwolono mu po raz pierwszy wejść do matki, która śmiertelną przebyła chorobę. Trzy lata upłynęło od téj pory, a Dziecioł nie miał dnia szczęśliwego.

13 letni Wilczysko twierdzi nie bez słuszności, „że opisać najszcześniejszy dzień w życiu, trudniejszém jest zadaniem, niż się zdaje, zwłaszcza, gdy się było zawsze aż dotąd szczęśliwym”. Ma jednak Wilczysko jedno wspomnienie, które niezmiernie dramatycznie opisał. Pojechał sam raz bez rodziców do krewnych, mieszkających w Warszawie, niby dla

szy dzień Figielka, tęsknił bowiem niezmiernie za bratem, a chociaż ma w domu siostrzyczkę, którą także kocha, zawsze, jak powiada: „to nie to co chłopiec!” 11 letnia Jagódka, mniej zapalczywie, jako panienka, lecz niemniej czule i radośnie witała ukochanego braciszka, przybywającego na święta. 13 letni Wróbel swój własny pierwszy przyjazd ze szkół do domu za najpiękniejszy dzień w życiu uważa. Jadąc, powtarzał sobie ciągle w myśli piękne wiersze: „Do mojego domku”. 7 letni Całusek (pod tym pseudonimem ukrywa się mała panieneczka) najszcześniejszą chwilą w życiu nazywa powrót po świętach ukochanéj nauczycielki. 10 letnia Wiosnuszka z nad Wieńca aż trzy tak szczęśliwe miała chwile, że nie wie, którą wybrać: gdy ojczulek wrócił do domu po dłuższej nieobecności, gdy mama wyzdrowiała po długiej chorobie i gdy siostrzyczka powróciła do zdrowia.

Wyjątkowym, zwłaszcza w tak młodym wieku, jest najszcześniejszy dzień w życiu 11 letniej Kalinki. Z rzewném uczuciem odczytałam ten opis i pomyślałam w duszy, że wiel-



Huragan zwrotnikowy (str. 179).

rozrywki, lecz wkrótce tak zatęsknił za rodzicami i domem, że sobie rady dać nie mógł. Aż raz niespodzianie, było to wieczorem, Wilczysko drzemał już sobie w łóżeczku, słyszy turkot zatrzymującej się przed domem dorożki, potem szmer jakiś się odzywa, drzwi zaskrzypiały... Wilczysko otwiera oczy i poznaje rodziców! „Skoczyłem i zawisłem na szyi mamie, pisze Wilczysko, nie byłem w możności głosu wydobyć z piersi, ścisnąłem tylko i całowałem rodziców, aż zdziwieni krewni zaczęli się tłumaczyć, żeś przecie u nich nie doznał żadnej krzywdy”. 14 letni Pegaz skrzydlaty za najszcześniejszy dzień w życiu uważa dzień powrotu ojca z podróży. Szkoda tylko, że wrażenia swoje, zwyczajnie jak pegaz, opisał rymem, a w redakcyi naszej zawyrokowano, że te rymy nie dorównywały pięknym uczuciom synowskim Pegaza i dlatego drukowane być nie mogą. 9 letni Figielek, braciśzek młodszy dawnego przyjaciela mego Latawca, opisuje znów uroczystą i radosną chwilę, gdy tenże Latawiec, po wyjeździe do szkół pierwszy raz zawitał w rodzinne progi na Boże Narodzenie. Gdy sanie ukazały się na dziedzińcu, nasz Figielek wyskoczył na ganek, „jak waryat” nie ja, broń Boże, lecz on sam tak o sobie powiada. Był to najszcześniejszy-

ka z niego wypływa nauka dla młodzieży, która zwykle nie umie cenić należycie hojnych łask i darów Bożych. Kalinka utraciła ojca, gdy jeszcze była małym dzieckiem i wówczas zamieszkała w obcym domu wraz z matką, która zajmowała tam miejsce nauczycielki. Wszyscy byli bardzo dobrzy dla Kalinki, a jednak czuła mimowoli, że to nie jój dom; to też, gdy matka postanowiła zamieszkać w Krakowie, zupełnie osobno, z radością wielką myślała o tém, że będzie miała na koniec swoje własne *gniazdeczko*. A gdy marzenia te spełniły się wreszcie... lecz posłuchajcie lepiej słów Kalinki: „...mamuńcia otworzyła drzwi, i stanęła na progu gniazdeczka naszego, rozejrzałam się w koło: był to duży, słoneczny pokój, przez dwa okna otwarte widać było piękny, zielony ogródek, woń róż kwitnących dochodziła do pokoju, słońce, przebiwszy się przez szare obłoczki, oświecało go wesoło, a ja myślałam sobie: Jakże miło i jasno w gniazdeczku! Teraz, gdy to piszę, już pół roku z górą upłynęło od téj chwili, a mnie się wydaje, że to było wczoraj i gdy chcę się myślać przenieść do najszcześniejszej chwili mego życia, to przypominam sobie, jak stałam w progu naszego gniazdeczka”.



Odpowiedź 14 letniej Świtezianki jest nadawczyźnie po-  
chlebna dla naszego Pisma. Wyobraźcie sobie, czytelnicy,  
że największą radością w życiu Świtezianki była chwila, gdy  
przed kilku laty otrzymała pierwszy numer „Wieczorów Ro-  
dzinnych”, które zaprenumerował dla niej stryjaszek! Co  
więcej, Świtezianka dotychczas się nie rozczarowała, gdyż  
jest stałą czytelniczką naszego Pisma, i jeśli nie z najwyższą,  
to zawsze ze szczerą radością wita każdy numer. 12 letnia  
Wytrwałość mnie znów szczególnie pochwiliła swoją odpo-  
wiedzią, wbiła mnie w dumę niesłychaną, muszę też dobrze  
się trzymać... żeby mi się głowa nie zawróciła. Wytrwałość  
miała wiele przyjemnych dni w życiu, np. dni imienin, dni  
świąt z choinką, lecz wszystkie przewyższył dzień pamiętny,  
w którym otrzymała nagrodę za zadanie konkursowe, pierw-  
szą nagrodę, jaką w życiu odebrała za własną pracę. „Nieraz  
sądziłam, pisze Wytrwałość, że wszystko, co przychodzi bez  
trudu, sprawia najwięcej radości, ale przekonałam się, że  
najmilszą jest nagroda zasłużona, a im więcej trudu ponie-  
śliśmy, tym większą sprawia przyjemność. Wymagania ro-  
dziców i nauczycieli, aby wszystko robić sobie samej, wyda-  
wały mi się przesadzone, gdy tymczasem mogłyby mi kto po-  
móc, bądź to w zadaniach naukowych, bądź w utrzymaniu  
porządku w moich rzeczach; ale dziś przekonałam się, że  
mieli zupełną słusność, bo czyż napisawszy z czyjąkolwiek  
pomocą: Ziarno do ziarnka a będzie miarka, nie zarumie-  
niałabym się sama przed sobą, że za cudzą pracę odbieram  
pochwałę?”

Polecam ten ustęp uwadze wszystkich czytelników. O tak,  
nagroda za własną pracę jest bardzo miłą, wiem to z własne-  
go doświadczenia. Oto i 11 letni Lew powiada, że najwię-  
kszym to było szczęściem w jego życiu, gdy przyniósł rodzi-  
com pierwszą szkolną nagrodę.

14 letnia Wiochna z pod Lublina jest w zgodzie zupeł-  
nej ze swoim pseudonymem, bo gdy raz przez czas dłuższy  
bawiła w Warszawie, powrót do rodzinnej wioski taką ją na-  
pełnił radością, że nie przypomina sobie szczęśliwszego dnia  
w całym życiu. 14 letnia Śnieżycia wysoko ceni przyjaźń  
i nigdy nie była tak szczęśliwą, jak w chwili, gdy przekonała  
się o stałości uczuć ukochanej przyjaciółki. Sarenka nie  
umie wybrać takiej radości, któraby wszystkie inne przewyż-  
szała, lecz do najszczęśliwszych chwil w życiu liczy te, które  
spędza w domu ukochanych dziadunia i babci. Nakoniec trzy  
małe panienki, siostrzyczki, przysłały mi opis najmilszych  
swych wspomnień. 10 letnia Modrooka nie miała większej  
radości, jak wesele wujaszka, na które aż z Litwy przybyła  
do Warszawy, a nie była świadkiem bezczynnym, podawała  
wraz z inną dziewczynką chleb i sól państwu młodemu, gdy  
powrócili po ślubie z kościoła. Szczęśliwa ta Modrooka była  
już i na drugiem wesele, na wesele cioci! Młodsza jej sio-  
strzyczka, 9 letnia Krasawica litewska, zostawała wówczas  
w domu, nie ma więc tak świetnych wspomnień, a największą  
jej radością w życiu była przejażdżka do lasu wozem drabi-  
niastym na grzybobranie. 7 letnia Koteczka miała także  
dzień wielkiego szczęścia, gdy po raz pierwszy w życiu jecha-  
ła koleją do Wilna, gdzie miała się poradzić okulisty, o cho-  
re oko. Dzięki Bogu nie musiała to być oczywiście ciężka  
choroba.

I otóż koniec sprawozdania, pozostaje tylko rozdanie na-  
gród. Muszę się kierować ścisłą bezstronnością i sprawiedli-  
wością, zwracając uwagę, i na treść, i na opracowanie.  
Wszystkie te odpowiedzi były dobre, każda w swoim rodzaju,  
czytelnicy to przyznają zapewne, nie mogąc jednak nagro-  
dzić wszystkich, muszę wybrać te, które mi się ze wszystkich  
względów wydały najlepsze i oto po długim namyśle przed-  
stawiam do nagród następujące panienki: Kalinę — Iskier-  
kę — Kalinkę — Prymulkę białą — Gwiazdkę z Małej Rusi  
— Chmurkę — Słomkę — Konwaliękę leśną — Wytrwałość  
— Świteziankę — nakoniec Wilezyską i Figielką.

Dla panienek przygotowałem na nagrody niespodziankę,  
z której niewątpliwie będą zadowolone; każdej z wyżej wy-  
mienionych ofiaruję fotografią osoby, kochanej i szanowanej  
przez wszystkie czytelniczki „Wieczorów”, autorki Reginki

i Prawdziwego bogactwa, p. Bronisławy Porawskiej. Dwom  
kolegom posyłam fotografie słynnych obrazów mistrzów pol-  
skich.

Nie podaję nowego zadania, ponieważ teraz w czasie wa-  
kacyj nikt zapewne nie miałby ochoty łamać sobie nad tem  
głowy. Natomiast w redakcyi naszej obmyślają plan jakie-  
goś nowego, nadzwyczajnego konkursu, który nie przeszkodzi  
rozrywkom wakacyjnym i koniecznemu w tej porze odpoczyn-  
kowi. Konkurs ten będzie ogłoszony w Nrze następnym.

A teraz polecam się życzliwości czytelników i czyteln-  
czek,

serdeczny przyjaciel Kazio.

## ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez Mayne-Reid'a.

(Dalszy ciąg).

XIX.

Zaręczyny solenne.

Elepari wiedział doskonale, że niegodny czyn jego nie mógł  
mu uść bezkarnie. Wiedział on także, iż Tenekowie liczniej-  
si byli daleko od Elikolepów i pokonają go z łatwością, gdy-  
by przyszło do otwartej walki. To też przez całą noc myślał  
nad tem, jakimby sposobem zawiązać na nowo zerwane  
układy.

A nie było czasu do stracenia, gdyż dnia następnego  
o ósmej z rana dano mu znać, że flotylla wojenna Teneków  
ukazała się na morzu. Flotylla składała się z czterdziestu  
łodzi, na każdej siedziało dwunastu zbrojnych ludzi, co ra-  
zem przedstawiało 480 wojowników. Elepari miał obecnie  
pod swojemi rozkazami 600 ludzi, nie licząc kobiet. Na te-  
raz więc przynajmniej przewaga liczby była po jego stronie,  
a i położenie Elikolepów przedstawiało się niewątpliwie o wie-  
le korzystniej. Tenekowie bowiem musieli, albo pod samym  
obozem na ląd wysiadać, a zatem narażać się na grad dziur-  
tów i kamieni, albo deflować po jednemu przez wąski pas  
ziemi i przez most od strony przeciwniej.

Wreszcie Elepari liczył na starą swoją strzelbę, która do-  
tąd zwykle postrach siała pomiędzy krajowcami, chociaż od  
pewnego czasu musiał dodawać tłuczonego węgla do pro-  
chu, w obawie, aby mu nie zabrakło amunicyi.

Jakież było jego zdziwienie, gdy Tenekowie, zamiast przy-  
bijać do lądu, uszykowali swoje łodzie szeregami na morzu,  
w takiem oddaleniu od brzegu, że pociski z proc nie mogli  
ich dosięgnąć.

Jakkolwiek nie rozumiał tej taktyki, Elepari kazał swo-  
im wojownikom stanąć na wybrzeżu, aby mogli w razie na-  
paści odeprzeć nieprzyjaciela. A wtém niespodzianie z czło-  
nów ozwały się strzały palnej broni, kilku Elikolepów ranie-  
nych z wraskiem padło na piasek nadbrzeżny, reszta przera-  
żona zaczęła co żywo umykać na wszystkie strony. Elepari  
rozłoszczony próbował ich powstrzymać, wreszcie dobył swo-  
ją słynną strzelbę, wypalił, lecz proch musiał stracić zupeł-  
nie siłę w skutek owych domieszek, zamiast strzału, dał się  
słyszeć trzask przygłuszony...

Tymczasem z członów Teneków ozwała się druga salwa  
nieliczna garstka Elikolepów, która jeszcze wytrwała przy  
boku wodza, zaczęła umykać w popłochu, wszystko co żywe  
pochowało się po szalaszach, lub drapnęło do lasu.

Wówczas łodzie Teneków zwolna, w największym porzą-  
dku przybiły do brzegu, ludzie wysiedli i śpiesznie wkroczyli  
do obozu. Tenekowie w przeciagu kwadransa załatwili się  
z nieprzyjacielem. Wszyscy wojownicy, zaskoczeni z nien-  
cka w szalaszach składali broń i zdawali się na łaskę zwycię-  
cy.



ców, kobiety ukrywały się po kątach z dziećmi, drząc ze strachu, słowem tryumf był zupełny, a obeszło się przytęm bez wielkich klęsk, żaden z Elikolepów nie był ciężko ranny, Tenekowie zaś wyszli z walki bez najmniejszego zadraśnięcia.

Henryk Chester biegł bez tchu prawie na wszystkie strony, szukając jeńców, nigdzie ich jednak znaleźć nie mógł. Serce jego ścisnęła trwoga okropna. Czyżby nikczemny Elepari, widząc się pokonanym, zamordować miał bezbronne kobiety, biednego kapitana Ganeya, pocziwego sternika i innych?... O! gdyby tak było, łotr ten zasłużyłby na karę najcięższą! I nie minęłaby go z pewnością!... Lecz czyliż zemsta powróciłaby życie Madzi i jej rodzicom?... Henryk odpychał od siebie tę myśl okropną, a jednak wszystko zdawało się ją potwierdzać, przejrzał już całe obozowisko, do każdego szalasu zaglądał, lecz nigdzie nie było śladu nie-szczęśliwych więźniów.

Królowa Okaszlu ostatnia na ląd wysiadła, otoczona przybocznym swym orszakiem. Kazała przyprowadzić wodza Elikolepów, którego kilku jej wojowników uwięziło. Elepari nie wyglądał wcale przynębiony swoją porażką, nie spuścił głowy i zuchwale spoglądał na królową Teneków.

— Zwyciężyłaś — rzekł do niej — ale ja mam w ręku zemstę gotową. Nie oddam ci jeńców-białych, którzy są w mojej mocy, a gdyby mi włos spadł z głowy, zgina wszyscy co do jednego. Są oni ukryci w takim miejscu, gdzie ich nikt, oprócz mnie, nie znajdzie.

Elepari powiedział to po angielsku, chciał bowiem, aby sprzymierzeńcy królowej go zrozumieli. Poznał też odrazu, spojrzawszy na śmiertelnie bladą twarz Henryka, że nie chybił celu.

— Jakto, Elepari! — zawołał młodzieniec — czyżby taki wódz dzielny i potężny, człowiek, który zwiedził kraje białych ludzi i żył z nimi w przyjaźni, mógł zamordować niewinne dziewczę, ojca jej, matkę i kilku zacnych marynarzy, aby dogodzić niesłusznej zemście? Czyż nie pamiętasz, jak kiedyś brat tej dziewczyny stanął wraz ze mną w obronie twojej?

Uśmiech okrutny wykrzywił usta dzikiego wodza, winszował sobie, że wpadł na ten pomysł i znalazł sposób upokorzenia zwycięzców.

— Młoda dziewczyna wraz z rodzicami i przyjaciółmi znajduje się w jaskini niedostępnej i mnie jednemu znaną — rzekł z zimnem szyderstwem — sam ich tam odprowadziłem zeszłej nocy. Zginą niezadługo z głodu, jeżeli Okaszlu nie spełni mojego żądania.

Okaszlu słuchała w milczeniu. Straszna walka odbywała się w jej duszy, nie dała jednak poznać po sobie żadnego wzruszenia i rzekła obojętnie:

— Żądaj odemnie rzeczy możliwych, a zgodzę się na wszystko najchętniej.

— Wiesz bardzo dobrze, czego żądam od ciebie — odrzekł Elepari z czelnością — wczoraj ci to kazałem powiedzieć: chcę abyś dała jeszcze trzydzieści polci słoniny moim ludziom i została moja żona, a wówczas Elikolepi i Tenekowie będą jednym ludem.

Henryk Chester mimowoli zwrócił na małą królową wzrok błagalny i przeraził się na widok bladej śmiertelnej, która pokryła jej oblicze. Lecz i ona spostrzegła wyraz prośby i rozpacz w jego oczach. Postanowiła użyć wszelkich środków, aby przełamać upor niegodziwego wodza.

— Elepari — rzekła — żądasz trzydziestu polci słoniny, a ja ci dam całego wieloryba, któregośmy jeszcze zaledwie napoczęli. Dodam do tego dwie strzelby, zapas amunicji, dwa pałasze, sztukę tkaniny czerwonej, dwie bransoletki srebrne i pozwolę twoim ludziom polować i ryby łowić na moich gruntach. Ale nie wymagaj mojej ręki, na to jedno nie mogę się zgodzić.

— A więc dobrze, jeńcy biali zginą z głodu — odparł Elepari z największą obojętnością.

Biedna Okaszlu spojrzała na Henryka i taką straszną rozpacz wyczytała w jego oczach, że nie mogła znieść tego widoku, zalała się łzami.

Potem nagle podniosła głowę, pokonała wzruszenie, chwyciła rękę młodego marynarza w swoje dłonie i rzekła cichym, lecz pewnym głosem:

— Przekonasz się pan że Okaszlu umie być wdzięczną, umie się poświęcić dla dobroczyńców swoich, — a zwracając się do wodza Elikolepów, dodała. — Elepari, jeżeli inaczej być nie może, przyjmuję twoje warunki... Poślij po jeńców i niechaj zgoda będzie pomiędzy nami i ludami naszymi...

Elepari wiedział doskonale, że mógł liczyć na słowo królowej Teneków, nie przyszło mu nawet na myśl żądać innej jakiegó rękomi. Dzika radość zabłysła w jego oczach, przywołał dwóch wojowników i udał się niezwłocznie po jeńców. Zapowiedział jednak, że potrzebuje na to kilku godzin, aby się dostać do jaskini, gdzie byli ukryci i przyrzekł odprowadzić ich wprost do rezydencji Okaszlu. Królowa Teneków postanowiła zatem powrócić niezwłocznie do domu wraz z przyjaciółmi i tam wszystko przygotować do uczty, przy której miały się obchodzić solenne zaręczyny.

Wiadomość o zawarciu pokoju na tak korzystnych warunkach uradowała niezmiernie Elikolepów, a Okaszlu podbiła ostatecznie serca tych nowych swoich poddanych, obiecując im przysłać świeży zapas ulubionego tłuszczu z wieloryba. Rozstano się zatem w najlepszej zgodzie, pośród okrzyków wesela i zobopólnych obietnic przyjaźni i jedności niezmienną.

Lecz gdy biedna Okaszlu wsiadła do łodzi, nie mogła powstrzymać wybuchu strasznej rozpacz, zaczęła łkać gwałtownie; Henryk usiłował ją pocieszyć, wmówić w nią, że może być szczęśliwą w tym związku, ona mu przerwała i wołała, załamując ręce:

— Nie, nie, pan tego pojąć nie możesz, jak ja strasznie cierpię. Ze wszystkich moich rodaków, Elepari jest dla mnie najwstrętniejszy... Postanowiłam nigdy nie iść za męża... Ach! czyż mogłam przewidzieć!...

I umilkła, tylko w duszy powtarzała sobie:

— Nie może być inaczej, muszę się poświęcić dla uratowania ludzi białych. Oni mi tyle dobrego zrobili, było mi tak dobrze w ich kraju, kochali mnie tam wszyscy, a brat tej młodej dziewczyny, syn tego kapitana, stanął w obronie mojej, nie znając mnie weale... Jeśli on żyje, to się dowie o tem, że umiałam być wdzięczną, rodzice i siostra mu to powiedzą; może wówczas przypomni sobie obcą dziewczynę, którą tak dzielnie ratował i wspomni mnie życzliwie... Oni powrócą do kraju i wszyscy będą szczęśliwi... i mnie, mnie jednej zawdzięczać będą swoje szczęście... i nie zapomną o mnie, bo ludzie biali są szlachetni...

Takie i tym podobne myśli umacniały pocziwą, nawpół dziką dziewczynę w powziętem postanowieniu i podtrzymywały jej odwagę. Nie umiała ona rozumować, lecz umiała być wdzięczną i nie wahała się spełnić dla tej wdzięczności największego poświęcenia.

Henryk nie rozumiał zapewne doniosłości tej ofiary, a jednak serdecznie mu żal było biednej królowej i łamał sobie nad tem głowę, jakimby sposobem ją znów z kolei wyrwać ze szponów tego łotra. Musiał jednak przyznać, że nie było na to żadnego sposobu, przyrzeczenie dane dobrowolnie musiało być spełnione, złamanie słowa, nawet w obec takiego niegodziwca, jak wódz Elikolepów, byłoby zdradą i on, człowiek cywilizowany, nie mógł przecież namawiać do tego królowej Teneków.

Gdy tak rozmyślał, przechadzając się przed szalaszem Okaszlu, uczuł nagle dotknięcie czyjejś ręki na swoim ramieniu. Odwrócił się, Orundeliko stał za nim, ustrojony dziwnie, w kapeluszu na bakier, z laseczką w ręce, brakowało mu tylko szkiełka w oku. Mały człowieczek wyglądał dziś nadzwyczaj buńczucznie, pochylił się do ucha Henryka i szepnął z naciskiem:

— Już ja biorę na siebie, że z tego małżeństwa nic nie będzie — i uśmiechnął się tajemniczo.

O drugiej po południu wspaniała uczta zastawiona była na trawniku przed szalaszem królowej, w cieniu drzew odwie-



cznych. Nadszedł wkrótce i Elepari w towarzystwie kilkunastu wojowników Elikolepów, przeprowadził też wedle przyrzeczenia kapitana Ganeya z żoną, córką i towarzyszymi.

Któż zdoła opisać radość Henryka, gdy ujrzał wszystkich zdrowych i całych, gdy rodzice Madzi przycisnęli go do serca, jak syna, a ona powitała tak serdecznie!... Młoda dziewczyna pobladła troszkę, lecz znów teraz uśmiechała się wesoło i zdawała się zapominać o przebytych cierpieniach. Okaszlu przypominała sobie odrazu zwyczajne kobiety cywilizowanych, od których zresztą nigdy zupełnie nie odwykła i zaprosiła obie panie do swoich apartamentów, gdzie były przybory do umywania, zwierciadło, grzebienie, świeża bielizna i dość bogata garderoba królowej; wszystko to Okaszlu oddała na ich rozkazy.

Potem wszyscy razem zasiedli do uczty. Poluks, pomimo zmęczenia, gorliwie dopomógł kucharzom miejscowym w przyrządzaniu różnych smakowitych potraw, ugotował nawet kawę, której zapas znalazł się w spiżarni królowej.

Elepari, paradnie wystrojony, promieniejący dumą, siedział po prawej stronie Okaszlu. Rozmawiał ciągle po angielsku, chwalił się przed żeglarzami swoimi przyjaznymi stosunkami z admirałem Fitzroy'em, opowiadał o pobycie w Europie, Okaszlu, smutna lecz spokojna, troskliwie zajmowała się białymi swoimi gośćmi i z wyrazem niewymownej tliwości spoglądała na Madzię, która jej przypominała towarzyszkę z pensyi angielskiej. Seagriff z radosnemi wykrzyknikami opowiadał kapitanowi, że jest posiadaczem wybornych narzędzi, że za sześć tygodni najdalej zbuduje wyborny statek i wszyscy odpłyną z tryumfem do najbliższego portu.

— Drzewa mi tu nie zabraknie — mówił, zającując przytęm w najlepsze — a na liny znajdzie się także materyał w tych lasach, widziałem tu różne włókna roślinne, z których dzicy wyplatają maty. Może i na żagiel odszuka się jaki kawałek płótna u tej poczciwej królowej. W każdym razie biorę to na siebie, że dopłyniemy sobie wzdłuż brzegów do Montewideo, a tam już pierwszy lepszy okręt zabierze nas i odwiezie do Nowego Yorku.

— Okręt? — powtórzył Elepari, który nadzwyczaj był uprzejmy dla wczorajszych swych jeńców — jeżeli idzie o okręt, to nie macie potrzeby płynąć tak daleko. Jeden z moich ludzi widział duży statek, stojący na kotwicy w odnodze Powodzenia, o piętnaście mil ztąd najwyżej.

— Czy podobna!... czy to pewna wiadomość? — wykrzyknęło na raz kilka głosów radosnych.

— Najpewniejsza w świecie — odrzekł Elepari — chciałem nawet wybrać się jutro w tę stronę i poprobować, czy nie dostałbym prochu na tym okęcie.

Rozmowa nadzwyczaj się ożywiła, wszyscy rozprawiali o tej ważnej wiadomości aż do ukończenia obiadu.

Okaszlu kazała nareszcie podać kawę w prawdziwych angielskich filiżankach, a w tejże samej chwili Orundeliko wstał niepostrzeżenie, obszedł naokoło biesiadujących, stanął za Eleparim, przyłożył mu pistolet do skroni i zanim tamten się opatrzył, owzał się strzał i wódz Elikolepów padł na wznak, jakby piorunem rażony.

Okrzyk zgrozy wyrwał się ze wszystkich piersi, lecz mały człowieczek rzekł najspokojniej w świecie:

— No i cóż wielkiego? Okaszlu go nie chciała, a i ja także nie chciałem, ażeby za niego wychodziła. Wszyscy powinni być z tego zadowoleni...

(d. c. n.)

## SZARADA.

(Od Maliny z Siedlec dla p. M. Ch.)

Pierwsze wykrzyknik, ptak go wydaje  
Pewne fabryki są *pierwsze i trzecie*;  
Drugą i czwartą w Chinach się dostaje,  
A drugą samą, to w nutach znajdziecie;  
Trzecie i czwarta służy tym roślinom,  
Które to lubią piąć się ku wyżynom.

Wszystko swawola  
Niepotrzebna weale,  
Uchodzi chyba  
Tylko w karnawale.

## Łamigłówka nowa.

(Od Wybredni dla Żubra.)

Zastąpić kropki literami i odczytać rzędami: 1. Pieśnią ludowy. 2. Najbliższy krewny. 3. Wehikuł. 4. Skrócony przyśłów. 5. Sylaba. 6. Litera. 7. Sylaba. 8. Miasto w guberni kijowskiej. 9. Wyspa grecka. 10. Wódz z dawniejszych czasów. 11. Ulica w Warszawie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

### Łamigłówki kropkowanej:

Sto lat miało, jak zakon krzyżowy,  
We krwi pogaństwa północnego brodził;  
Już Prusak szyję uchylił w okowy,  
Lub ziemię oddał a z duszą uchodził;  
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,,  
Więził, mordował, aż do granic Litwy.  
(początek poematu: „Konrad Wallenrod”).

### Łamigłówki zegarka:

Powój — Poeta — Pekin — Pułap — Pycha — Potop — Paweł — Proso — Pleśń — Popis — Polak — Parki.

Jan Papłoński.

TREŚĆ: Co wietrzyk opowiadał gruszy w noc majową, pogadanka ogrodnicza p. Zofią Grabkowską (z drzew.) — Do konia polnego, wiersz Kazimierza Brodzińskiego. — Doświadczenie fizyczne, (z drzew.) — Huragan zwrotnikowy (z drzew) Sprawozdanie Kazia z zadania konkursowego. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Maję Reid'a (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Zniszczone rękawiczki p. Adę (z drzew.) — Motyl, wiersz p. Helenę Bojarską. — Poprawa Janka p. Z. Bukowiecką. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



## ZNISZCZONA RĘKAWICZKA.



adna była bardzo pogoda i mama zapowiedziała przechadzkę do Saskiego ogrodu. Stefcia przewracała wszystkie rzeczy w szufladach swej komody z nadętą miną, mrużąc co chwila:

— Jak czego pilno potrzeba, to jak na złość nie ma!

Mama i siostra Celinka, ubrane już do wyjścia, czekają w jadalnym pokoju, a Stefcia wciąż szuka

po wszystkich skrytkach rękawiczek, i znaleźć ich nie może. Wczoraj dopiero kupione, Stefcia zawinęła je w czystą bibułkę, i tak owinięte schowała do komody, ale do której szuflady?... w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć. Celinka zagląda niecierpliwie przez drzwi uchylone, ach! jak niezdolnie czekać!

— Przestań szukać, Stefcu! — woła mama — nie możemy już dłużej czekać, włóż stare rękawiczki.

Nowa sukienka i stare zniszczone rękawiczki! jakże to brzydko wygląda! To też Stefcia z oczami łez pełnymi zapinała rękawiczki, schodząc ze schodów. Łatwo jej to przyszło, ponieważ były już bardzo rozciągnięte, brakowało dwóch guzików, a nawet dwa palce prawej ręki wyglądały ciekawie przez szwy rozprute. Dziewczynce wstyd było niedbalstwa, ścisnęła paluszki, chcąc ukryć dziury, nie chciałyby, aby nawet i mama to zobaczyła, wszak ona wczoraj właśnie przypominała o potrzebie naprawienia rękawiczek.

Pogoda sprzyjała przechadźce. Chociaż drzewa jeszcze obnażone, jednak gdzieś tam widniały już drobne pączki jasno-zielone. Wodotryski były rześkim deszczem, na rabatach i kląbach kwitły kwiaty wiosenne. Łabędzie kąpały się w zwierciadlanym stawie, trzepocząc wesoło skrzydłami. Celinka i Stefcia rzucały im okruszyny bułki, i tak były rozbawione, że Stefcia zupełnie o zniszczonych rękawiczkach zapomniła. Z nad stawu mama przeszła z dziewczynkami do głównej alei, gdzie z daleka dojrzały wuja Todzia, dobrego, wesołego wujka. I on je zobaczył, przybliżył się, Stefcia ścisnęła rączkę w pięść; on zaś na powitanie podał rękę siostrzeniczkom; Celinka prawą rączkę podała, Stefcia, po chwili wahania, lewą.

— Cóż to za zwyczaj! — pytał wuj ze śmiechem, prosząc o prawą rączkę!

Cóż było począć? dziewczynka nieśmiało podała rękę,

wuj złapał dwa ciekawe paluszki, i „aj panienko”... powiedział.

Stefcia zarumieniła się po same uszy, spojrzała na mamę i spotkała smutne, pełne wyrzutu spojrzenie.

— O mój Boże, znów mamę zmartwiłam! — rzekła w duchu — a wuj Tadzio nie prędko zapomni o tych nieszczęsnych rękawiczkach! teraz mi ciągle przypomina czarny guzik, do fartuszka białą nitką przyszyty, choć to było jeszcze w jesieni.

Dziewczynka z trudnością łyż powstrzymała.

Wieczorem po herbacie Celinka zajęta szydełkową robotą, słuchała powieści którą mama głośno czytała, a Stefcia wyjmowała wszystkie rzeczy z komody, ażeby je porządnie poukładać. Przeszkadzało jej to zajęcie słuchać uważnie czytaną powieści, ale dziś nic ją nie mogło zająć: zmartwiła mamę, pragnęła to naprawić. Nowe rękawiczki znalazły się pomiędzy popłataną włóczką. W godzinę wszystko było ułożone w porządku, stare rękawiczki zaszyte i razem z nowymi w pudełko włożone.

— Niech mamunia zobaczy teraz moją komodę — mówiła nieśmiało.

Mama obejrzała wszystko z uwagą.

— Czy mamunia zadowolona ze mnie? — pytała córka, całując ręce mamy.

— Będę zadowolona, gdy komoda zawsze tak będzie wyglądała — odpowiedziała mama całując Stefcie.

Nie od razu do tego przyszło, z początku trzeba było przypominać Stefcie przygodę z rękawiczkami, ale powoli dziewczynka pozbyła się niedbalstwa i dziś jest bardzo porządną panienką.

Ada.

## MOTYL.

Już wyleciał motyl w pole,  
Na zabawę, na swawolę,  
Wita kwiatki, wita ziółka.  
Wciąż latając do okółka.  
Chwile ciepła, chwile wiosny,  
To dla niego czas radosny;  
O! lecz krótka szczęścia chwila  
Dla motyla!

Dla nas wiosna krótkotrwała  
To dla niego wieczność cała;  
Ach! on chciałby do ostatka  
Wyssać słodycz z ziółka, z kwiatka,  
Całe życie, o! bez końca  
Grzać skrzydełka w blasku słońca,  
Igrać, bujać po przestrzeni  
Wśród zieleni!



A gdy przyjdzie jesień błada,  
I pożółkły liść opada,  
Wszystko zmienia się na świecie;  
Już nie nęci wonią kwiecie,  
Już słoneczko na błękicie  
Błyśnie tylko czasem... skrycie  
Wnet nastąpi dla motyla  
Zgonu chwila!  
*Helena Bojarska.*

## POPRAWA JANKA.

Mały Janek ma dopiero pięć lat, ale już rozumie, że pracować trzeba, różne też robi rzeczy i nie uwierzylibyście, jak takie maleństwo umie pomódz każdemu. Na wiosnę wywozi taczkami liście z ogrodu, zamiata przed domem bardzo porządnie, spędza kury i indyki z kwiatków, znosi drzazgi od cieśli. W zimie wypłata koszyczki z papieru, obciera z kurzu kwiatki w wazonikach i podlewa je codziennie, daje jeść kanarkowi, naprawia swoje popsute zabawki, a już na usługi starszych, to zawsze gotów, nikt tak prędko jak on nie znajdzie okularów, nie przyniesie stołeczka, jest doprawdy niezmiernie miłym i kochanym chłopcem.

Ale p. Jan obrażać się lubi, a to bardzo martwi siostrzyczkę jego, maleńką Zosię, która chociaż czasem bywa złośniczka, jest przytém niezmiernie wesoła i cały dzień biegałaby i śpiewała z braciszkiem, a tu braciszek pogniwany w kąciку stoi z miną tak namarszczoną, że zląkłby go się nawet Turek z pałaszem, nietylko taka mała panienka, co nawet igły jeszcze nawlec nie umie, a Janek i to potrafi, bo często babcię w tém wyręcza.

Dąsa się i dąsa Janek, a Zosi na płacz się zbiera, i do ogrodu pobiedz nie może; bez Janka nie poszłaby za nic, a on odwrócony do ściany i patrzeć na nią nie chce. A wtém zaturkotało coś przed gankiem, psy zaszczeakały, usłyszano bieganie po schodach i do pokoju weszła mała Ludwinia, którą Janek bardzo lubił a z którą przez całą zimę się nie widział, bo w zimie dzieci siedzą w domu i tylko wyglądają przez okno.

Zosia jest bardzo gościnna, pobiegła więc prędko, odebrała od Ludwini małą parasolkę, nie wiele większą od dużego grzyba, kapelusz i płaszczyk, a rozbierając ją, roztropna dziewczynka zasłaniała sobą Janka, żeby miał czas oczki obetrzeć i rozchmurzyć zadąsaną buzię. Janek także bardzo kochał Ludwinę, zapomniał więc o zmartwieniu i jak grzeczny chłopczyk pocałował panienkę w rękę, a potem wszystko troje poszli się bawić.

A jaka to była zabawa! Biegano po ogrodzie, wożono się wózkiem, huściano, a gdy wieczorem zrobiło się chłodniej, mama proponowała balik i dzieci wróciły do pokoju. Na wielkim talerzu dała im babcia mnóstwo dobrych rzeczy i z tych gotowali coś długo, aż mamy były ciekawe, co też tam są za potrawy; więc zaproszono mamy na bal, a mama Ludwini powiedziała, że nigdy tak dobój zupy z mleka nie jadła. Potém były paszteciki wykrawane w chlebie dużym naparstkiem; kładzie się na takiem kółku chlebowém trochę posiekanego jajka,

zamiast jajecznicy, przykrywa mniejszym kółkiem i nawet mamy myślą, że to prawdziwe z francuzkiego ciasta paszteciki. Były także pieczone kurczęta z dużych rożnek, w które powtykano patyczki niby że to rożenki i obłożone prawdziwą sałatą ślicznie to pieczone wyglądało. Najlepsza była legumina z ciastką, suto obłana sokiem, sok też z wodą był za wino, i Janek pił niém zdrowie panienek; zabawa tak się przeciągnęła, że czas było się zegnać, i Ludwinia pojechała, a Janek z Zosią przyszli do babci zwykły zmówić pacierz.

Ale babcia nie zaraz go zaczęła, tylko wzięła Janka na kolana i przypomniała mu, że był niegrzeczny, że się dąsał i że dopiero przyjazd Ludwini udobruchać go potrafił.

— Dobrze to mój Janeczku — powiedziała babcia — że jesteś gościnny i dla gości zwyciężyć się potrafisz, ale najlepszymi trzeba być dla tych których najwięcej kochamy, więc jeśli przez chęć podobania się Ludwini przestałeś się dąsać, to dla mojej miłości pamiętaj nie dąsać się nigdy, bo babcia bardzo stara, i przykroby ci było, gdyby umarła, a tyś ję prośbie odmówił.

Janek ucałował kochane ręce babci, czuł, że prawdę mówiła i od tego czasu nie dąsał się wcale, a Bóg dobry pozwala, że babcia żyje i długo jeszcze żyć będzie, żeby się cieszyć poprawionym wnuczkem.

*Zofia Bukowiecka.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

Weszli tymczasem do sali jadalnej, stół przepysznie był przybrany kwiatami i owocami. Szczególnie podobaly się Abrakadabrusowi małe drzeweczka owocowe w doniczkach, grusze, jabłonie, śliwy, okryte przepyszny mi owocami. Wyglądało to zupełnie, jakgdyby kto zerwał z drzewa gałąź z obfitym owocem i zasadził ją w doniczkę. Ale to były drzewka prawdziwe, w taki sztuczny sposób hodowane, że się trzymały karłowato, jak krzaczki małe, a jednak wyborny owoc rodziły. Zielonko miał umiejętnych ogrodników, wszystko, co się tyczyło roślin, było u niego bardzo udoskonalone.

Podawano różne potrawy, wyszukane i smaczne, lecz z samych roślin przyrządzone, to jest ciasta, warzywa, owoce z bliższych i dalszych części świata pochodzące, utrzymywane w bogatych cieplarniach królewicza. Abrakadabrus zupełnie był zadowolony i nie czuł braku mięsa. Posiliwszy się, pierwszy przypomniał przerwana rozmowę.

— Powiadasz, miłościwy królewiczu, że ja biorę stronę dostojnego brata twego Kryszałka przeciwko tobie. Otóż mylisz się bardzo, ja tylko mówiłem, co jest najczystsza prawda, że woda należy do królestwa minerałów; w tém królewicz Kryszałek ma słusność, lecz nie ma on wcale słusności co do niezgody z rodzonymi braćmi, i tu muszę z całą otwartością wypowiedzieć zdanie swoje: wszyscy trzej źle robicie, wszyscy trzej powin-



nić się upamiętać i podać sobie ręce do zgody. Bo powiedz sam, miłościwy królewiczu, czy dobrze na tém wychodzisz, żeś sobie wybrał królestwo roślinne, a dwóch innych się wyrzekł na rzecz braci? czy jesteś szczęśliwy w tém dziwném położeniu?

— Ach, mistrzu kochany! przed tobą prawdy ukrywać nie chcę; czuję ja to dobrze, żeśmy niedorzeczność popełnili wszyscy. Największą mi to przykreść sprawia, powiem ci z całą otwartością, że nie mogę żadnym sposobem, pomimo najlepszej chęci, wytrwać w powziętém postanowieniu i dotrzymać słowa braciom. Przysięgłem solennie, że poprzestanę na królestwie roślinném, że nigdy nie dotknę ich własności, a tu...

— Otóż to właśnie — dokończył Abrakadabrus z łagodnym uśmiechem — nie zastanowiłeś się nad tém, miłościwy królewiczu, że trzy królestwa przyrody ściśle są z sobą związane, jedno bez drugiego istnieć nie może. My ludzie możemy się wyżywić roślinami, wcale nawet nie-żle, czuję się zupełnie nasycony po twoim obiedzie, miłościwy królewiczu, chociaż nie mieliśmy, ani pieczeni, ani pieczystego. Ale te rośliny, które my spożywamy, potrzebują także pokarmu, bo inaczej nie mogłyby żyć i wzrastać. Pokarmem zaś roślin są minerały, w wodzie rozpuszczone, lub unoszące się w postaci gazów w powietrzu.

— Teraz i ja to zrozumiałem, mistrzu, lecz wprzód nie pomyślałem o tém; ze wstydem wyznaję, że nigdy nie zastanowiłem się nawet, z kąd to w roślinach tworzą się korzenie, łodygi, liście, z czego one ciągną swoje soki. Wielka szkoda, żeśmy w domu ojca naszego nie mieli tak mądrego nauczyciela, jak ty, kochany mistrzu. Piękne królowny, córki króla Dobromira, są bardzo szczęśliwe, że mogły z nauk twoich korzystać.

Tu westchnął głęboko, a Abrakadabrus mówił dalej:

— Otóż skoro już tak jesteś ze mną otwarty, miłościwy królewiczu, to i ja także powiem ci szczerze całą prawdę. Dowiedz się więc, że ja tu właśnie po to przybyłem na wyspę Atlantę, aby zgodę przywrócić pomiędzy tobą i dostojnymi braćmi twoimi; przyjdzie mi to zapewne z łatwością, bo już i sami zrozumieliście własną niedorzeczność. Królewicz Kryszałek dał się zupełnie przekonać, byłem właśnie u niego.

— Co, Kryszałek chce zgody? — zawołał Zielonko uradowany — a mnie się zdawało, że on właśnie najwięcej się będzie upierał.

— Ba! jak tu się upierać, kiedy jeść trzeba. Nie brak tam wprawdzie wszelkiego pokarmu, u królewicza Kryszałka, obiad nawet lepszy i wytworniejszy, niżeli tu u ciebie, ale cóż z tego, królewicz Kryszałek ma także sumienie drażliwe, więc gryzie się strasznie tą myślą, że żyje poprostu z łupów, zagarniętych bezprawnie braćmiom. On także nie zastanowił się nad tém, przystępując do tych nierozsądnych układów, że martwe minerały, podtrzymują wprawdzie życie roślin, lecz życia ludzi i zwierząt podtrzymać nie mogą. Dopiero smutne doświadczenie go przekonało, że zginąłby z całym swoim dworem pośród stosów złota i kosztownych kamieni w braku roślinnych lub zwierzęcych pokarmów.

— To rzecz oczywista — zawołał Zielonko z tryumfem — musi nas ustawicznie rabować, to mnie, to Pióro-

puszka, gdy mu głód dokuczy. Ja przynajmniej głodu się nie obawiam. Chodź, mistrzu, pokażę ci moje cieplarnie i ogrody wiszące. O, cóżbym dał za to, gdyby cudna królowna Jagódka mogła to wszystko obejrzeć; ona tak lubi kwiaty i wszystkie rośliny.

— Ja mam nadzieję, że królowna Jagódka będzie tu kiedyś panią w tym pałacu — odezwał się stary Abrakadabrus, spoglądając z pod oka na królewicza — tylko porobimy niektóre ulepszenia.

— Co mówisz, kochany mistrzu — zawołał Zielonko uniesiony radością — więc ty masz nadzieję, że piękna królowna zechce mi oddać swoją rękę? Czyżby król Dobromir na to przystał w końcu? Odmówił mi prawie...

— Król Dobromir nie robi z tego tajemnicy, że oddałby chętnie trzy swoje córki trzem synom przyjaciela swego, króla Bożydara, ale król Dobromir jest dobrym ojcem, pragnie on szczęścia córek, obawiał się więc tej niezgody w rodzinie i wysłał mnie w tym celu, abym sprawę zbadał na miejscu. Jeśli chcesz otrzymać rękę miłej uczennicy mojej, królowny Jagódki, musisz przede-wszystkiém, miłościwy królewiczu, pogodzić się z braćmi.

— I powiadasz, mistrzu, że Kryszałek skłania się już do zgody? — zapytał Zielonko.

Tak jest, skłania się, i ty się skłonisz także, nie wątpię o tém, bo inaczej król Dobromir nigdy nie da swego zezwolenia.

— O, jeżeli tak, to przystaję na wszystko — zawołał Zielonko — ja coprawda sam tej zgody pragnę najserdeczniej, całą rzecz, że nie chciałem pierwszych kroków robić, czekałem, aż oni do mnie przyjdą...

— Otóż to — mówił Abrakadabrus — tak samo myśli i królewicz Kryszałek, a zapewne i królewicz Pióropuszek. Żaden nie chce być pierwszym, jakgdyby to był wstyd pierwszemu zrobić coś rozsądnego. Wybacz mi, miłościwy królewiczu, moją otwartość i poufałość, ale przyzwyczajono mnie do tego na dworze króla Dobromira. Tam każdemu zawsze mówiłem prawdę, nie obwijając w bawelnę, a królowny, uczennice moje, nigdy się o to nie gniewały, gdy im postępowanie ganiłem, jeżeli na to zasługiwało.

— Ależ i ja wcale się nie myślę gniewać na ciebie, mistrzu — odrzekł Zielonko — proszę cię najusilniej, abyś ze mną tak postępował, jakbym był także uczniem twoim.

Tak rozmawiając, królewicz Zielonko poprowadził Abrakadabrusa najpierw do wspaniałego swego parku, gdzie rośło mnóstwo drzew rozmaitego gatunku, potem poszli do ogrodów wiszących. Były to galerie, wsparte na słupach drewnianych, urządzone jakby olbrzymie pudła z desek, napełnione ziemią i zasadzone najrozmaitszymi pięknymi i ozdobnymi roślinami. Wszystko to okryte bujnymi liśćmi i różnobarwnymi kwiatami wyglądało prześlicznie. Po obu stronach tych galerij pourządzane były chodniki; królewicz wprowadził tam gościa swego po wschodkach i obaj przechadzali się wzdłuż wiszących ogrodów. Abrakadabrus z wielkiem upodobaniem patrzył na śliczne kwiaty i napawał się ich wonią, a królewicz Zielonko uśmiechał się z zadowoleniem i myślał sobie w duszy, że mistrz niezawodnie po powrocie opowie



o tém wszystkiém na dworze króla Dobromira i królowna Jagódka dowie się, jakie to on piękne rzeczy posiada w swojej rezydencji. A wtém inna jakaś myśl, mniej wesoła, przysłała mu do głowy i znów czoło jego wido-  
cznie się zasępiło.

(d. c. n.)

## HOMONIMY (M. P.)

Choć wypić nie zdołacie, lecz pić macie możecie,  
Równie dobrze, jak zjadać; a kto jestem, wiecie?

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 21-go.

### Łamigłówka w kwadraciku.

B U T  
U L E  
T E N

## Skrzynka do listów.

**Brzózka z nad Giełczwi** nie potrzebuje zmieniać pseudonimu, chociaż się nad inną rzekę przeniesie. Pocziwe serduszek Brzózki odgadło, że siostrzyczka jej z pseudonimu, Brzózka srebrna, jest troszkę chora, musiała nawet wyjeżdżać zagranicę dla kura-  
cyi, zapewne też z tego powodu się nie odzywa; z pewnością je-  
dnak nie gardzi znajomością młodziej Brzózki, za to ręczymy. Co do łamigłówki, byłaby spóźniona, kochana Brzózko, bo jak tu śpiewać o wiosnie wśród letnich skwarów?

**Zorza** nadesłała łamigłówkę dobrze ułożoną, lecz nazwisko w niej zamieszczone nie ma żadnego dla naszych dzieci znaczenia i jest im mało znane. Przykro nam, że musimy odmówić takiej kochanej czytelniczce, która za własne oszczędności Pismo nasze prenumeruje, ale Zorza z łatwością pewnie inną łamigłówkę uło-  
ży. Wszyscy są o to proszeni, aby pisali „kochana pani”.

**Jabłonkę z Podola** prosimy, aby nam doniosła, jak jej się uda urządzanie zielnika według naszych wskazówek. Nie wątpimy, że Jabłonka dużo przyjemności znajdzie w tém zajęciu, które jest zarazem i pożyteczne.

**Zawierucha** tak porządnie pisze, że niewłaściwie nazywa swoje pismo bazgrotami. Kazio domyślił się odrazu, dlaczego to Zawierucha tak długo się nie odzywał. Egzamina niejednemu się teraz dają we znaki, wielka też do grzeczności ze strony Zawieru-  
chy, że w takiej porze choć króciutko napisał, bo już naprawdę troszkę nam było tęskno. Łamigłówkę wydrukujemy.

**Halutka S.** wybornie odgadła swoje łamigłówkę.

**Induktor Rhumkorffa** rzeczywiście wybornie działa (niepotrzebnie tylko używa w tym razie obcego wyrazu *funkcjonuje*.) Opis majówki z deszczem był bardzo zajmujący i prosimy o wiadomość czy poprawiny się lepiej udadzą. Jeśli Induktor doda sobie do swoich stosów dostateczną ilość kwasu, aby opis jego był zupełnie porządny, i co do kształtu liter, i co do sensu, to go wydrukujemy w Pisemku, a z pewnością i innych czytelników za-  
bawi.

**Okularnik** się pomylił, bo wiadomy ptak nigdy jeszcze do naszych konkursów nie należał. Łamigłówka wybornie ułożona, ale pocóż Okularnik wybrał do tego nazwisko tak wstrętne? Czyż mało jest innych które z przyjemnością odgadywać mogą dzieci?

a to wcale się nie nadaje do żartów. Niechno Okularnik główkę po-  
łamię i też same dowcipne koncepta do innego wyrazu zastosuje,  
a z pomocą mamy nie trudno mu to przyjdzie.

**Różyczka biała z Wołynia** bardzo pięknie robi, że żadnego konkursu nie opuszcza, zapewne też należeć zechce i do nowego, który na czas wakacji będzie ogłoszony. Żądany Nr. wysłano powtórnie. Cieszymy się niezmiernie, że nagroda taką przyje-  
mność sprawiła kochanej Różyczce.

Kochany Brysiu! Nie wiem, czy cię czém obraziłam, że ani słowa do mnie nie mówisz. Jeżeli tak, to przebacz twojej przy-  
wiązanej Zorzy.

Kochany Krakowianinie! Przepraszam cię, że nie odpisałam odrazu, lecz miałem w tym tygodniu dwa egzamina i brakło mi czasu. Ja nazywam się Franio. mam lat 14 jestem jedynakiem u rodziców i uczęszczam do klasy IV. Pozdrów odemnie braci i donieś mi coś o nich. Czekam odpowiedzi, twój Zawierucha.

**Strykowski Bartoszowi** Prymalka różowa dawniej Łania i Ró-  
życzka polna przesyłają zagadkę, w której się kryje pseudonym ich braciszka:

Trawą się żywi,  
Mieszka w naszym kraju,  
Tropią go myśliwi,  
Choć go mało znają.  
Ma brodę, grzywę i rogi,  
Dwa palce u każdej nogi.  
Jako zwierz duży i silny,  
A jako chłopczyk — dobry i pilny.

Kochana Gwiazdko z Rusi Czerwonej! Jestem twoją kuzynką, mieszkam w Warszawie, nazywam się Wańdzia. Donieś mi, kiedy Ciocia przyjedzie. Całuję cię serdecznie, Twoja Różyczka z Mazowsza.

**Do wszystkich** Najusilniej prosimy korespondentów naszych, aby wszelkie pakiety pieniężne, listy rekomendowane i zwyczajne, adresowali jak następuje: *Do redakcji Wieczorów Rodzinnych Mazowiecka Nr. 10*, nie dodając nazwisk, ani redaktorki, ani kierowniczkę Pisma, przyczynia to bowiem często dużo kłopotu, ponieważ te osoby nie mogą osobiście odbierać z poczty prze-  
syłek i listów.

**Na kolonie letnie złożyli.** Kukułka z lipowego ogrodu kop. 50—Kotunia R. kop. 50 — Elwira R. kop. 50 M. K. R. kop. 50—Mania, Janek, Kazio, Tadzio, i Bronia Markiewiczze rs. 4—p. Anna Kłopotowska za pośrednictwem p. Wiśniakowskiego kop. 50—Julian Kublicki rs. 1. Regiaka rs. 1.

## DO WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW.

Na Pradze, przedmieściu Warszawy, ma się budować nowy kościół, gdyż dotychczasowy jest za mały dla pomieszczenia licznej ludności. W celu doprowadzenia do skutku tego zamiaru, zawią-  
zany został komitet i zbierane są składki. J. E. arcybiskup warszawski, jako prezydujący w tym komitecie, ogłosił we wszyst-  
kich Pismach odezwę, z której wyjątek tu podajemy:

„Ponieważ parafia Pragi składa się przeważnie z biednej lu-  
dności rzemieślniczej i robotników fabrycznych, przeto odwołuje się do pobożnej ofiarności wiernych całego kraju, ufny, że skro-  
mnemni choćby datkami czy to w gotowiźnie, czy w naturze, zechcą przyłożyć się do wzniesienia przybytku chwały Pańskiej i dla zba-  
wiennego pożytku tych, co znojem, trudem i pracą zgnęani, szukać będą u stóp ołtarzy Pana Zastępów pociechy, ufności i umocnie-  
nia”.